

# Józef Dobrucki, Anna Milewska-Młynik

---

## Sybir

---

Niepodległość i Pamięć 13/1 (22), 199-208

---

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Józef Dobrucki

### Sybir

#### Pierwsze dni na Sybirze 1940 roku

Po paru dniach po przyjeździe do Pinjuga<sup>1</sup> Rosjanie wywołali z baraku kilkadziesiąt mężczyzn i kobiet, każąc im zbierać się do roboty w lesie. W tej grupie byłem razem z bratem Edkiem i Tatą. Wyszliśmy w takich ubraniach, w jakich nas zabrali z domów [...].

Zima na Sybirze, choć rozpoczął się już marzec, była bardzo ostra, wokół baraków zalegały wielkie zwały śniegu. Ale że naokoło rozciągał się tylko las, wiatru żadnego nie było, tośmy takiego wielkiego zimna zaraz po wyjściu z baraków nie czuli. Nikt też nie wyobrażał sobie, na czym ma polegać nasza praca. Moskale nie dali jednak czasu, by się nad tym zastanawiać. Enkawudzista policzył nas, zapisał i kazał iść za sobą. Nikt nic nie zabrał, bo i nie było co, ani też nie powiedział rodzinom, dokąd się udajemy. Szliśmy dobrą godzinę przez las nieco przetartym traktem, gdyż ktoś jechał tędy wcześniej saniami. Później skręciliśmy na nieuczęszczaną boczną drogę, która wiodła do baraków w lesie. Były to dwa niezbyt duże budynki. Nieopodal nich palił się ogień, nad którym wisiał kocioł z gotującą się wodą (z roztopionego śniegu). Kazano nam się napić tej wody, lecz nie było z czego, ponieważ przy kotle wisiała tylko jedna chochła. Dopiero po jakimś czasie dali jakieś miseczki do picia.

Za nami przyjechały sanie z piłami i siekierami. Polecono nam formować brygady i wybrać brygadystów. Rozdano narzędzia; na brygadę przypadła jedna długa piła, trzy kabląkowe i dziwne siekiery – z dwoma ostrzami i bardzo ciężkie. Rosjanie pracowali szybko, gdyż byli do nich przyzwyczajeni. I z tym sprzętem zabrano nas do lasu. Gdy zapytaliśmy o jedzenie, odpowiedziano nam, że po powrocie dostaniemy obiad. Do miejsca wyrębu miało być niedaleko.

Po wejściu do lasu zrozumieliśmy co to jest Sybir!!! Śnieg był głęboki na dobry metr, bardzo dziwny, prawie lód. Rosjanie, a szło ich z nami trzech, nałożyli narty i bez trudu szusowali do przodu. My wpadaliśmy prawie po pas w zaspy. Szliśmy rzeczywiście niedługo, jednak na miejsce dotarliśmy zupełnie mokrzy. Do odgarniania śniegu dano nam drewniane łopaty, ale odrzucenie ogromnych zwałów wydawało się mało możliwe. Szybko nastał wieczór, choć w tych lasach dzień od nocy różni się niewiele. Gdy doszliśmy na miejsce, Rosjanie ścięli kilka małych świerków i rozpalili ogień. Nam kazali zrobić to samo. Każda brygada miała swoje ognisko i wyznaczony odci-

---

1 Pinjug – miejscowość położona w północnej części obwodu kirowskiego (przyp. red.)

nek lasu do roboty. Kazano nam ścinać drzewa – nie były grube, ale bardzo stare i twarde. Przeważały rozłożyste świerki, których pnie porastał mech. Tworzyły ściany prawie nie do przebicia.

Gdy wróciliśmy do baraków, zaprowadzono nas do pomieszczenia będącego „sypialnią”. Stały tam tylko drewniane prycze pod ścianą, na środku piec z blaszanej beczki, poza tym nic więcej. Dziur w ścianach było dużo; mech, którym je zapchano, dawno odpadł. Ale wiatr nie wiał i palił się ogień, więc było cieplej niż na dworze. Na kolację dostaliśmy zupę i pół kilo chleba już na jutro. Rano był tylko kapiatok z tym chlebem i do pracy, aż do wieczora.

Nie znaliśmy tej roboty, więc było bardzo ciężko zajmować się wyrębem gęsto zarośniętego lasu. Pracowałem tam zaledwie parę dni, ponieważ mocno przeziębilem się i bardzo bolała mnie głowa. Wróciłem do Pinjuga i poszedłem do punktu medycznego. Przyjęła mnie młoda dziewczyna, potrafiąca tylko zmierzyć temperaturę. Poszedłem do niej w mundurze, w którym mnie zabrali, a ona nie mogła nadziwić się, że Wojsko Polskie jest tak pięknie ubrane. Nasypała mi na gazetę sporo aspiryny, innych lekarstw nie miała. Leczyłem się sam rozgrzaną cegłą w mokrym ręczniku; byłem młody i po tygodniu przeszło. Do lasu już nie wróciłem. Podczas choroby poznałem trochę ludzi, przeważnie dziewczyn. Przebywały tu wywiezione osoby ze służb państwowych, poznałem Dziunię Woszczyńską, Jankę i Helę Ptakówny, Irkę Sikorę i inne. Były to dla mnie nowe znajomości, one trzymały się razem.

Nasi mężczyźni też wrócili z roboty – kłęli, bo nic nie zarobili, a każdy był zaźębiony.

Zaraz od poniedziałku komendant zaczął organizować nam kolejną robotę i zapowiedział wyjazdy do innych obozów. Znów przyjechały sanie z enkawudzistami, którzy kazali ludziom wychodzić z baraków. Komendant miał gotowe listy i zaczął dzielić nas na grupy. Okazało się, że porozdzielał rodziny, zaczęły się krzyki. Ludzie prosili mnie, abym się wstawił za nimi, gdyż nieźle znałem język rosyjski. Było dużo gadania i wyjaśnień, jak to u Sowietów. Młodzież też chciała być razem, komendant śmiał się, że może nas za trzy ruble pożenić. Trochę się uspokoiło. Ale wujka zabrali do innej brygady, gdyż mówił po rosyjsku. Mnie włączono do grupy z dziewczętami. Część ludzi załadowała się na sanki, reszta poszła pieszo i dotarliśmy do tego odcinka, co poprzednio. Zacząłem rozmawiać z pewnym Rosjaninem. Powiedział, że komendant sprowadził go jako lekarza, ale nie wyglądał najlepiej. Nazywał się Jan Pszeniczny i był polskiego pochodzenia. Polskie korzenie miał też komendant Jan Zborowski. Lekarz prosił, aby nikomu o tym nie mówić. Radził, żebym za dużo nie pytał, bo w Rosji za parę słów można dostać pięć lat ciężkiego więzienia.

Zanim dotarliśmy do nowego obozu, skończył się dzień. Zrobił się bałagan, bo enkawudziści włączali do baraków zbyt wielu ludzi. Wtedy znów trafiłem do komendanta. Uzgodniliśmy, że ludzie będą udawać, iż nie rozumieją, co mówią enkawudziści i dobiorą się jak chcą.

Obóz przedzielony był potokiem. Z każdej jego strony znajdowały się po trzy większe baraki i kilka małych. Ludzie dostali do jedzenia chleb i kapiatok, ale jeden przydział nam przepadł. W małym baraku urządzono sklep, lecz większość nie miała za co kupować. Ludzie krzyczeli, że są głodni, co rozzłościło komendanta. Powiedział, że jak jest woda to głodu nie ma. W Sowieckim Sojuszu chleba za darmo nie dają, trzeba na niego zapracować.

Do brygad dołączono kobiety. Do naszej trafiły obie Ptakówny, ich ojciec oraz Aniela Bem. Wydano nam sprzęt – siekiery z dwoma ostrzami, piły i piłki do gałęzi.

Wyruszyliśmy do lasu. Nasze działki były daleko za obozem. Pokazano co, z jakiego drzewa się robi. Zaczęliśmy pracę, ale robota szła nam marnie, bo był już kwiecień i zaczynały się roztopy. Kiedy był mróz, wystarczyło owinąć nogi szmatami, a teraz wszystko przemakało. Rosjanie na zimę mieli walonki z koziej sierści, jednak dla nas zabrakło. Potem przywieźli je do sklepu. Kosztowały siedemdziesiąt rubli, ale nikt tyle nie miał. Kupowało się chodaki z kory lipowej po trzy ruble i trzeba je było ciągle suszyć.

Usytuowanie obozu po dwóch stronach potoku było bardzo niewygodne. U nas znajdował się sklep, za rzeczką kuchnia, a most był daleko. Moskale czynili wszystko, żeby nam obrzydzić życie. Po drugiej stronie rosła jodła, więc kazali nam robić podkłady do torów. Kobiety ścinały brzozę na dyktę, odpady szły na opał. Normy wyrobić nikt nie mógł. Tak pracowaliśmy do maja, śnieg już się dawno roztopił.

Pewnej niedzieli komendant zaczął szukać ochotników do pracy. Nikt się nie zgłosił, więc wybrał moją brygadę. Powiedziałem, że ja, Grzegorzewski i Ptak możemy iść, ale Ojciec i Edek do ciężkiej pracy się nie nadają. Komendant wyraził na to zgodę i na piechotę poszliśmy do Pinjuga, a tam wsiedliśmy w pociąg z jednym enkawudziwą. Na Syberii dzień jest długi, więc na wieczór byliśmy już na miejscu. Komendant nowego posiołka zaprowadził nas do stołówki i do baraku. Rano dostaliśmy tylko kipiatak i do roboty. Praca była ciężka, droga ułożona z podkładów drewnianych, a teren podmokły. Miały jednak jeździć tędy samochody. Łączono po trzy sosny, podbijano je od spodu i tak metr po metrze. Konie nie mogły ciągnąć drzewa, bo było grząsko, więc musieliśmy my. Z początku nam nie szło, lecz po zorganizowaniu się już było łatwiej. Mieliśmy jednak kłopot z siekierami, ale w końcu znalazły się trochę lepsze. Pracowaliśmy do soboty, a wtedy zażądano, byśmy robili również w niedzielę, tak jak ludzie w Rosji. Jednak w końcu pozwolono nam pojechać w niedzielę do naszego obozu, niby po siekiery. Do roboty wróciliśmy na czas. Pokazałem wtedy komendantowi przywiezioną siekiere. Bardzo się zdziwił, gdyż była z paskowej stali, a takich oni nie robili. Pracowaliśmy tam jeszcze trzy tygodnie i wróciliśmy do swojego obozu. Za ten miesiąc nasze rodziny nie dostały pieniędzy, więc było głodno i chłodno. Tatę i Edka wyprawili do Pinjuga, by na stacji pilowali drzewo przeznaczone na opał do lokomotyw. Zosi kazali korować drzewo, ale mało za tę pracę płacili. Bywało, że po potrąceniu pieniędzy za zupe, nie starczało na chleb.

Tato poszedł do komendanta i powiedział, że nie daje rady codziennie chodzić na stację. Otrzymał wtedy od niego 20 rubli jako pożyczkę na zakup chleba. Ludzie stale narzekali, że są głodni, więc komendant zaczął słabszych wyprawiać na jagody. Rosły one na bagnie, skąd wypływała nasza rzeczka. Rosjanie nazywali je klukwa, po angielsku cranberry. Jagody te wyglądały zawsze świeżo, choć były stare. Zrywało się je dobrze, jeden człowiek mógł w ciągu dnia zbierać i dwa wiaderka. Jagody wsypywano do beczek, a część oddawano do kuchni. Płacono za nie dobrze, trzy ruble za wiadro. Dostawało się też kartkę na chleb, tak jak roboczy. Ciężko było jednak przynieść to wiadro do obozu. W obozie pozostawali tylko bardzo słabi i chorzy, ale oni również musieli zajmować się gromadzeniem pokarmu na zimę dla koni.

Nasza Mama ciągle chorowała, tak samo jak bracia Bolek i Dolek, którym dokucała niewyleczona angina. Siostra Lonia była wówczas bardzo malutka.

W naszej okolicy wyznaczono miejsce na rozbudowę stacji, ponieważ w Archangielska szedł tylko jeden tor, a miały być dwa. Odcinek z Kirowa do Pinjuga już został ukończony. Zaczęto budować most na dużej rzece Wyczegdzie. Była to ciężka praca. Jednak most sam się zawalił, więc skierowano linię bardziej na zachód. Dużo

ludzi zginęło podczas tej pracy. Powstał tam wielki cmentarz. Na mogiłach Sowieci postawili stajnie. Ci, co wcześniej nie wymarli, zostali rozstrzelani i pochowani w trzech wielkich grobach. Ludzie chodzili po siano dla koni i to wszystko odkryli. Znaleźli też pociąg zatopiony w rzece, zawalone mosty i resztki kołchozu stanowiącego kiedyś część obozu. Na posiołkach takich jak nasz znajdowały się: areszt, sklep, bania i konieczne wszobojka do spalania wszy. Standardowe obiekty stalinowskiej rzeczywistości. Bez nich Rosja nie mogłaby egzystować.

Później przenieśliśmy się na nowe miejsce. Mieszkały tu rodziny ukraińskie, przeważnie gajowi. Nasza sytuacja nieco się poprawiła. W posiołku zaczęto budować szkołę, budynek administracji, kuchnię i stołówkę. Planowano też postawienie nowych baraków dla ludzi, ponieważ w starych było bardzo ciasno.

Robota szła teraz lepiej, nawet komendant nas chwalił.

W okolicy rosły maliny i poziomki. Było też dużo jagód zwanych kamionka. Wszyscy dożywiali się nimi. Rosjanie prowadzili skup i placili po trzy ruble za wiaderko, ale niewiele udało się zebrać, gdyż dokuczały nam muszki. Były to czarne, wściekle owady, które wchodziły wszędzie, gdzie chciały. Po pluskwach uważano je za największą zarazę, ale tak szybko jak się pojawiały, równie błyskawicznie znikwały. W lesie rosły też grzyby. Ludzie prędko je wybierali, a w głąb bali się zapuszczać. Jedna kobieta odeszła za daleko, znaleźli ją na drugi dzień, ale już nie żyła.

### Czas wojny fińskiej

Przez Pinjug zaczęły coraz częściej przejeżdżać transporty z rannymi z frontu fińskiego. Do stacji przestali nas dopuszczać, abyśmy nie wiedzieli, co się dzieje. Szkołę, kuchnię ze stołówką i kantor czyli budynek administracyjny wybudowano jeszcze przed zimą i Sowieci przenieśli się do niego. Stary barak został więc w połowie pusty, gdyż część wykorzystywano na magazyn i sklep. Komendant postanowił, że w wolnym pomieszczeniu będą co niedzielę urządzone mityngi, czyli wykłady o sowieckiej kulturze, ale ludzie nie przychodzili. Kierownictwo chciało koniecznie coś zrobić, żebyśmy nie mieli wolnej niedzieli. Przychodziło więc dwóch komisarzy, aby na zmianę nas indoktrynować. Zaczęli od naszego baraku. Po paru słowach wstępu zapytali, co myślimy i wiemy o sowieckiej kulturze. Mama od razu powiedziała, że poznaliśmy ją dobrze. Wystarczy popatrzeć na lampę naftową, w której brakuje szkiełka, na okopconą ścianę. Dodała, że mamy w baraku jeszcze coś więcej – podniosła deskę i pokazała kłębiącą się tam całą masę pluskiew. Kiedy komisarze to zobaczyli, bez słowa wyszli i dopiero na zewnątrz zaczęli krzyżeć na komendanta. Do innych baraków już nie poszli. Na drugi dzień dostaliśmy szkiełko do lampy, natomiast pluskiew, mimo parzenia gorącą wodą i odymiania, nie udało się wytepić. O mityngach i kulturze już nie wspomiano.

My młodzi, a było nas sporo, wymyśliliśmy, że w pustej części budynku powinno się urządzać świetlicę. Porozmawialiśmy z komendantem, a po uzyskaniu jego zgody, zrobiliśmy tam salę do tańca. W obozie przebywało kilku muzyków z instrumentami, którzy obiecali, że będą nam przygrywać. Zespołem kierował pan Starzyk, dobry skrzypek. Część młodzieży chciała nauczyć się tańczyć. Komendant to zaakceptował i nawet dał człowieka, żeby w tej sali palił i zamiatał. Sala do tańca przydała się nam, bo na dworze było bardzo zimno, a w barakach ciasno. W niedzielę nie chcieliśmy pracować i coś wypadało zrobić z wolnym czasem.

Po drugiej stronie potoku zaczęto budować nowe baraki, ale przed nastaniem mrozów nie ukończono prac, gdyż zima nadchodziła tu bardzo prędko. Do mojej brygady

dodali jeszcze jedną dziewczynę, a zabrali najlepszego robotnika, Janka Grzegorzewskiego. Kazali mu bowiem zorganizować inny zespół. Rosjanie chcieli zatrudnić wszystkich ludzi, a kobiety nie nadawały się do wycinania drzew. Dlatego włączano je do różnych brygad. Mój zespół został wówczas mocno osłabiony, zaczęło być kruch i należało coś wymyśleć. Wpisywałem więc do każdego transportu po parę bali już wcześniej oddanych. Pomagała nam w tym Marysia Bojarska, bo też chciała ratować koleżanki. I tak z trudem dotrwaliśmy do pierwszych śniegów.

Śnieg na Syberii nie sypie tak gęsto jak u nas. Tam pada prawie bez przerwy drobniusieńki lód, który przypomina mgłę. Przez zimę potrafi nasypać go bardzo dużo i nie topnieje. Słońca przez dwa – trzy miesiące nie widać prawie wcale. A noce są rozgwieżdżone, zaś na niebie często pojawia się zorza polarna. Musieliśmy pracować niezależnie od warunków pogodowych – nawet w pochmurne dni, a czasem też w nocy.

Pod koniec listopada komendant obozu zawiadzał mnie do kantoru i powiedział, że zamierza wysłać trzech ludzi na kurs „stachanowski”. Chodziło podobno o to, żeby pokazać, jak powinno się wydajnie pracować w syberyjskiej tajdze. Wyznaczył mnie i Janka Grzegorzewskiego. Dołączył do nas Włodek Szafranec, dobry kolega jeszcze z Polski. Komendant powiedział, że w następną niedzielę odwiedzi nas Sacharow. Mieliśmy jechać do najlepszego brygadzisty na Syberii i tak się stało.

Drogi na Syberii znajdowały się wyłącznie przy torach kolejowych, zaś w las odchodziły już tylko małe dukty. Ze względu na wielkie odległości między osadami, były one rzadko używane. Jadąc z Pinjuga dobre 10 kilometrów, nie spotkaliśmy nikogo. Dopiero w głębi lasu zobaczyliśmy kilku ludzi zajętych robotą. Sacharow triumfalnie pokazywał nam, jak Sowieci pracują na ciągnikach gąsienicowych. Wozili oni długie bale budowlane do stacji oraz odpady na trociny do kotłów i łupki na gaz. Na Syberii wszystkie maszyny napędzane są gazem lub drewnem, które, gdy jest suche, nie zamarza.

Dojechaliśmy do osady. Była niedziela, a wszyscy pracowali. Sacharow tryumfował. Zatrzymaliśmy się koło baraków, w których mieliśmy nocować. W środku znajdował się wielki piec opalany drzewem, na nim stał kocioł z gorącą wodą. Ponieważ przemarzliśmy, wzięliśmy się do picia, gdyż woda była za darmo. Pod ścianami leżały deski do spania. Rozłożyliśmy na nich nasze skromne zawiniątka i odpoczywaliśmy. Powoli schodzili się ludzie, którzy skończyli pracę. Zaczynali od picia gorącej wody, każdy miał swój kubek na sznurku. Przy kotle była tylko chochla do nalewania. Potem stawiali w kącie swoje piły, siekiery i wychodzili.

Kierownik powiedział, że mamy być gotowi następnego dnia o godzinie 6.30 i zaprowadził nas do stołówki, gdzie dostaliśmy kolację i prowiant na drugi dzień. Pokazał też, gdzie są narzędzia. Kierownik bardzo nam się podobał. Był to gruby, wysoki, a przy tym wesoły człowiek. Rano przyniósł bańki na kipiatak, bo w lesie nikt nie gotował. Zapytał, czy nie chcemy kawy. Gdy o nią poprosiliśmy, wyciągnął z kieszeni całe opakowanie i kazał nam wszystko wsypać do wrzącej wody. Był to palony jęczmień, zmieszany z suszonymi gruszkami i jabłkami. Napój okazał się nieco kwaśny, ale i tak lepiej smakował niż sama woda.

W lesie pracowało już przy wyrębie sześcioro ludzi, trzy kobiety i trzech mężczyzn. Postawiliśmy swoje bańki koło paleniska i poszliśmy do roboty – ja i Włodek do ścinania drzewa, a Janek do kawałkowania i sortowania. Były to bardzo ważne czynności, gdyż różne gatunki inaczej się liczyły do wypracowania normy. Ja miałem tylko rąbać ponacinane wcześniej siekierą drzewa. Ktoś inny odrąbał gałęzie, drugi ciął bale na kawałki, dziewczyna zajmowała się tylko odgarnianiem śniegu. Kiedy

zrobiliśmy przerwę na obiad i popatrzyliśmy za siebie, nie mogliśmy uwierzyć, że udało nam się tak wiele wykonać. U nas każdy musiał sam wszystko przygotowywać, a tu mieliśmy zorganizowaną pracę; walszczyk był tylko do zwalania, sortownik do sortowania i tak dalej. Brygadzysta powiedział, że dziewczyny są rozliczane z tego, co zrobi cały zespół, jeśli więc wykonamy wyższą normę, one również zarobią więcej.

Po kilku dniach brygadzysta zaprosił mnie do siebie, gdyż jego żona chciała dowiedzieć się czegoś o Polsce. Okazało się, że dom mieli zwykły, syberyjski, zbudowany z bali drewnianych. Był dość duży i wygodny. Składał się z dwóch izb i sieni. Mieszkanie ogrzewał fabryczny piec opalany drewnem, pochodzący jeszcze z czasów carskich. Wnętrza wyposażone były w wygodne meble własnej roboty.

Żona brygadzysty postawiła na stole dwie miski makaronu ze słoniną, a on wyjął z kredensu butelkę wódki, by się ze mną napić. Wznosząc toast powiedział po polsku „Na zdrowie”. Gdy okazałem zdziwienie, wyjaśnił, że jego dziadek był dobrym Polakiem. Polskie pochodzenie miał też ojciec żony. Rozmawialiśmy prawie do rana.

Żona brygadzysty kupiła dla mnie co mogła – dwa kilo makaronu i kilo słoniny. Nie chciałem, żeby ktoś się dowiedział o naszych kontaktach i postanowiłem zanieść tę żywność zawsze głodnej rodzinie. Byłem młody i zdrowy, a noce na Syberii są jasne, więc sądziłem, że uda mi się powrócić przed świtem. Jak postanowiłem, tak zrobiłem. Okazało się jednak, że to nie takie proste. Ledwie doszedłem, gdyż musiałem maszerować pięć godzin po mrozie. Ale rodzina bardzo się ucieszyła i to było dla mnie nagrodą. Odpocząłem nieco i w drogę powrotną. Teraz szło mi się łatwiej.

Brygadzysta był bardzo wystraszony, choć ucieszył się, że wszystko dobrze się zakończyło. W następną niedzielę Sacharow zabrał nas do naszego posesiołka. Nie zdążyłem zwrócić brygadziście pieniędzy, ale inni też mu nie zapłacili.

Zima stawała się coraz ostrzejsza, śniegu przybywało, a ludzie mieli coraz mniej środków do życia. Kołchoz znajdował się zbyt daleko, do stacji dawało się dotrzeć, lecz przychodziło tam niewiele osób, więc trudno było cokolwiek sprzedać. Rosjanie orientowali się, że ludzie mają niewiele pieniędzy i przywozili coraz tańszy chleb, jednak i tak niektórzy musieli pożyczać, aby go kupić. Powoli tworzyła się międzyludzka solidarność.

Po powrocie Sacharow zaprowadził nas do kantoru. Komendant pytał, cośmy widzieli w „stachanowskim” posesiołku. Odpowiedzieliśmy, że tam inaczej pracują, ale też lepiej płacą. Komendant postanowił wprowadzić podgotowki przy wyrębie drzew, jednak o wysokości zarobków sam nie mógł decydować. Powiedział, że wytyczył nam nowe działki i każdy z nas dostanie własną brygadę. Kiedy w poniedziałek poszliśmy do pracy, musiałem pokazać, czego się nauczyłem. Ścinałiśmy i sortowaliśmy drewno w podobny sposób, jak u „stachanowców”, lecz nawet pracując nowymi metodami nie mogliśmy osiągnąć normy.

Tak minął pierwszy rok. Wciąż jednak nie udawało się zarobić na chleb. W rodzinie było nas ośmioro, a do pracy nadawały się tylko cztery osoby. Tato musiał co jakiś czas coś sprzedać, by zdobyć środki na życie. Gdy napadało więcej śniegu było jeszcze gorzej, ponieważ utworzyły się ponad metrowe zasy.

Komendant musiał przydzielić nam działki położone bliżej osady. Nie był to dobry las, gdyż nie rosły w nim sosny, tylko świerki, osiki i brzozy. By wyrobić normę, musieliśmy pracować coraz dłużej. Ale mieliśmy już kwiecień i robiło się coraz cieplej.

Kiedy mróz nieco zelżał, komendant wezwał mnie do kantoru. Zapytał, czy chcę zbierać korę z drzew, oczywiście dopiero po skończeniu pracy, z tym jednak, że Ma-

ma i Bolek z Dolkiem mogliby mi pomagać. Mieli płacić trzy i pół rubla za metr kwadratowy, czyli więcej niż za wyrąb drzewa. Od razu się zgodziłem. Ponieważ brygady przeniosły się dalej, mogliśmy wszyscy spokojnie pracować; najpierw z Tatą, a potem i z Mamą zebraliśmy sto metrów. Następnie przenieśliśmy się dwa kilometry dalej, jednak mieliśmy dobry transport, gdyż ułożono tam tory i można było przewozić surowiec prowizorycznym wagonem ciągniętym przez konie. W nowym miejscu pracy było dużo więcej kory i sam uzbierałem sto metrów. I na tym się skończyło. Trzeba było powrócić do poprzedniej pracy. Moja działka znajdowała się dosyć daleko, więc wybudowałem sobie szopkę w lesie i tam nocowałem. Zacząłem nawet robić za „stachanowca”, a komendant podawał mnie za wzór dla innych.

## Cegielnia

Pewnego dnia, gdy byłem przez całą noc w lesie, przyjechało do naszego obozu dwóch sowieckich komisarzy. Na początek dokonali przeglądu baraków, później chcieli zobaczyć jak ludzie pracują. Komendant obozu przyprowadził ich do naszej brygady. Wypytywali o wszystko: jak pracujemy, ile wyrabiamy normy, czy możemy i czy chcemy być efektywniejsi. Potem zaczęli nas przekonywać, jak to dobrze, że tutaj przyjechaliśmy, ponieważ tam, gdzie dotąd mieszkaliśmy, są teraz Niemcy. Tak wychwalali pobyt tutaj, że nie dopuszczali nas do głosu. W końcu jednak udało mi się przerwać ich tyradę. Powiedziałem, że normę wyrabiamy, ale musimy pracować znacznie więcej niż osiem godzin. Ja nawet śpię w lesie, aby nie tracić czasu na drogę do obozu. Pokazałem naszą budę i ognisko. Stał tam ronderek z grzybami, które Mama ugotowała w baraku, a Tato przyniósł je tutaj z kawałkiem chleba. Zapytałem komisarzy, jak długo o takim jedzeniu można pracować w lesie. Dają nam na obiad talerz zupy, jeśli ma się ją za co kupić, i kiptatku do woli. Dodałem, że nie starcza nam chleba, gdyż nasza rodzina liczy osiem osób; cztery pracują, trójka chodzi do szkoły, a Mama jest chora.

Chleba dostajemy po kilogramie na pracującego, reszta po 200 gramów i nic poza tym. A dzieci też chcą jeść, więc musimy się z nimi dzielić.

Akurat zadzwonili na obiad. Ponieważ nasza działka była blisko kuchni, poszliśmy wszyscy razem: Sowietci pierwsi, ja za nimi, potem Tato i reszta brygady. Na kucharkę, która była żoną Polaka pracującego w naszym zespole, jak dotąd nigdy nie skarżyliśmy się, bo co mogła nalać do talerza z pustego kotła. Teraz jednak stało się coś nadzwyczajnego. Sowietci podeszli pierwsi z talerzami, kucharka, może bezwiednie, a może specjalnie, wygarnęła z dna całą chochlę klusek, potem nabrała z wierzchu rosolu i dała im piękną zupę. My natomiast dostaliśmy po trzy kluseczki i resztę wody. Usiedliśmy razem i Tato powiedział do tych Sowietów: Oto tutejsza równość. Dostaliśmy zupę z jednego kotła, a jaka różnica. Wtedy Sowiet podbiegł do kotła, zajrzał do niego i wrócił do obozu bez jedzenia.

Pani Ptakowa straciła wówczas pracę i w gruncie rzeczy było nam przykro z tego powodu. Na jej miejsce przyszła Rosjanka, ale nie wiem czy jedzenie stało się lepsze, gdyż już wtedy nie pracowaliśmy w lesie.

Wkrótce po incydencie z kucharką Marysia Bojarska powiedziała, że mam się zgłosić do komendanta. Chciał ze mną porozmawiać o przydziałach chleba dla mojej rodziny. Później kazał mi iść do sklepikarza i oznajmić mu, że wszystkim – pracującym i nie pracującym ma sprzedawać odtąd po kilogramie chleba.

Czasem do sklepu przywozili jakiś towar: zapalki, sól, specjalny gruby materiał do owijania nóg, gdyż skarpet nikt w Rosji nie widział. Raz dostarczyli gumowe buty,



ale były bardzo drogie, a ludzie nie mieli pieniędzy. Tato kupił trzy pary i po jednej nosił do kolchozu, by wymienić je na kartofle. Zbieraliśmy grzyby, mama suszyła chleb i gotowała zupę. Wydawało się, że jest nam trochę lepiej.

W niedzielę, gdy nie pracowaliśmy, mieliśmy zwyczaj wychodzić na most. Znajdował się on na trasie zakładanej linii kolejowej z Moskwy do Archangielska. Budowali ją rosyjscy więźniowie i wielu popów, którzy założyli nasz obóz. Wymienialiśmy tam różne nowiny.

Za mostem przy drodze popi wycięli szeroki pas lasu, gdyż potrzebowali dużo drewna na budowę mostu, stacji i na opał. Ten wykarczowany kawałek komendant rozdzielił na działki zagrodnicze dla każdej rodziny. Pewnie chciał, żeby ludzie nie mieli czasu na pogaduszki, ale zajęli się pracą.

Pniaki były świeże, trudne do karczowania, więc brakowało chętnych do uprawiania takiej ziemi. Oglądając ten teren nasunął nam się jednak inny pomysł. Między nami było dwóch starszych ludzi, Bojarski i Kosierb, którzy mieli w Polsce duże cegielnie. Stały one obok siebie, więc złączyli je nawet w korporację. Panowie, rozmawiając ze sobą stwierdzili, że dobrze byłoby mieć w Polsce taką glinę jak tutejsza. Znałem ich, więc zacząłem uważnie słuchać o czym mówią. Później wtrąciłem się do rozmowy i powiedziałem, że tu również można założyć cegielnię. Komendant, który słyszał naszą dyskusję, chciał dowiedzieć się czegoś więcej o tym pomysle. Wy tłumaczyłem mu, że można byłoby wyrabiać dobrą cegłę i to bez żadnych nakładów. Trzeba wykopać duży dół, odpowiednie kanały na ogień i uformowaną cegłę w nim wypalać. Jest tu prawie wszystko: glina, drzewo, ludzie, brak tylko chęci. Komendant poskrobał się po głowie i powiedział: Wy Poliaci potraficie wszystko zrobić. Obiecał też przemyśleć sprawę, gdyż pewnie sam nie mógł podjąć decyzji.

Po dwóch dniach zakomunikował nam, że będziemy budować cegielnię.

Kiedy zrobiliśmy już formy i zwieźliśmy trochę ziemi z wykopywanych kanałów, dostarczono nam jedną beczkę wody. Było to stanowczo za mało, ponieważ wodę dzielono na zaopatrzenie kuchni, szkoły i łaźni, w której ludzie mogli się raz w tygodniu umyć. Do beczkowozu zaprzęgano najsłabszego konia, a powoził nim jeden stary człowiek. Woda była niedaleko, w odległości około pół kilometra od cegielni, ale płynęła w dość głębokim wąwozie, do którego dojeżdżało się z drugiej strony. Zgłosiłem się do komendanta, że mogę wydobywać ją wiadrem. Koło kuchni stało kilkanaście beczek po rybach, w których można magazynować wodę. Zażądałem jednak, by za tę pracę płacono mi po 10 kopiejek od wiadra, a komendant się na to zgodził. I tak zostałem dostawcą wody.

Zabrałem się do kopania schodów w dół jaru, zrobiłem ich dwadzieścia trzy. Sam komendant pochwalił moją pracę. Na szczęście dał mi małe wiaderka. Umieszczałem je na ramie koromysła i mogłem z nimi biegać. Już drugiego dnia wziąłem się do pracy i od razu zorientowałem się, że będzie to dobry zarobek, gdyż mogłem wnieść około trzystu wiaderk. Tyle potrzebowano w cegielni. Było trochę problemów, gdy przedstawiłem komendantowi rachunek. Okazało się, że zarabiam trzydzieści rubli dziennie. Komendantowi wydawało się to zbyt dużo, ale wytłumaczyłem mu ile czasu pracuję – nie osiem godzin, tylko cały dzień i pół nocy.

Po opróżnieniu pierwszego pieca okazało się, że udało się nam wypalić bardzo ładną i dobrą cegłę. Bojarski i Kosierb udowodnili, co naprawdę potrafią.

Drugi piec ładowali nawet w nocy, aby jak najwięcej wypalić. Robota szła coraz sprawniej i szybciej. Sowieci byli zadowoleni, gdyż potrzebowali dużo cegły.

Pewnego dnia komendant zwołał wszystkich ludzi i oznajmił wielką nowinę, wprost nie do wiary!! Rząd Polski podpisał ze Stalinem umowę, na mocy której Polacy przebywający na obszarze sowieckim byli wolni!! Wiadomość wszystkich nas bardzo zaskoczyła. Sowieci nie podawali na razie żadnych konkretów i prosili, żeby roboty nie przerywać.

Po kilku dniach przybyli do posiołka (bo obóz już zlikwidowano) jacyś ludzie. Zaczęli opowiadać, że teraz Polacy razem z Krasną Armią będą bić germańca. Staną się wolni na równi z Sowietami.

Nie wszyscy się z tego ucieszyli, bo kto rozumiał choć trochę tamtejszą rzeczywistość, wiedział wyraźnie, że u Sowietów nikt wolny być nie może.

Ale stało się. Rzeczywiście za kilka dni komisarze przywieźli udostowierzenia (dokumenty), umożliwiające nam swobodne poruszanie się na terenie Rosji. Jednocześnie zaczęli zachęcać, byśmy się zapisywali do Czerwonej Armii. Nie znaleźli jednak żadnego ochotnika, nawet wśród Ukraińców. I mnie komendant próbował zwerbować. Chciał mi wystawić dobre zaświadczenie, które umożliwiłoby mi przyjęcie do sowieckiej szkoły. Mówił nawet, że pewnie zostanę generałem.

W naszym posiołku mieszkała rodzina Sikorów. Pani Sikorowa była kuzynką polskiego ambasadora pana Kota. Pojechała więc do Moskwy w naszej sprawie. Ambasador powiedział jej, że powinniśmy czym prędzej udać się do Buzułuku<sup>2</sup>, gdyż tam powstaje Armia Polska i ludzie będą mogli otrzymać pomoc.

Do posiołka przyjechali komisarze, aby za wszelką cenę nas zatrzymać. Obiecywali, że wybudują tutaj polskie miasto.

I tak upłynęło kilka tygodni. Pewnego dnia przyszedł do nas syn wujka, który mieszkał w innym posiołku i powiedział, że wszyscy już stamtąd wyjeżdżają. Wtedy zrobił się u nas wielki ruch, ludzie nie chcieli iść do pracy i zaczęli zbierać się do odjazdu. Komisarze zaczęli straszyć, że wszyscy zginą z głodu, obiecywali cuda tym co zostaną. Ale było już za późno. Ludzie zdecydowali się na wszystko, aby tylko wyrwać się z Sybiru. Kiedy komendant zorientował się, że nikogo nie powstrzyma, postarał się o kilka arb (dwukolowych wozów) dla ludzi, którzy nie daliby rady dojść do stacji pieszo. W posiołku pozostały tylko trzy rodziny ukraińskie.

\* \* \*

## Od redakcji

Zesłańcze wspomnienia Józefa Dobruckiego są fragmentem większej opowieści, obejmującej także późniejsze losy jego rodziny. Historia kończy się bowiem w 1942 roku, gdy autor dotarł do Iraku i wstąpił do Armii Polskiej.

Józef Dobrucki niechętnie sięgał po pióro i zapewne nigdy nie poznalibyśmy jego dziejów, gdyby nie dr inżynier Henryk Bieliński. On to właśnie spisał relację byłego zesłańca i wzbogacił ją o garść szczegółów biograficznych. Z „Posłowia” dowiadujemy się, że w 1939 roku Dobrucki brał udział w obronie Warszawy i dostał się do niemieckiej niewoli. Po kilku tygodniach udało mu się jednak zbiec. Powrócił wówczas do rodzinnej Stefanowki, położonej w okolicach Sambora. Jak się okazało, na krótko.

---

2 Buzułuk – miasto w obwodzie orenburskim, Rosyjska FSRR (red.).

10 lutego 1940 roku deportowano go wraz z rodziną i krewniakami do Rosji. Dzięki własnej zapobiegliwości Dobruccy mogli przetrwać uciążliwą podróż i najtrudniejszy okres zesłania, gdyż zabrali sporo ciepłych ubrań i duże zapasy żywności. Słabszym członkom rodziny pozwolono jechać do stacji saniami, silniejsi musieli iść pieszo. W miejscowości Holyń załadowano ich do pociągu. Okazało się wówczas, że wraz z Dobruckimi deportowano wielu okolicznych mieszkańców: „wszystkich gajowych, urzędników, wojskowych” i bardziej majątnych ludzi.

20 lutego 1940 roku dotarli do dużej stacji położonej w lesie. Saniami dowieziono ich do baraków na polanie, w których mieli odtąd mieszkać.

Był to jeden ze „specposiołków”, przeznaczonych dla osadników i leśników deportowanych z rejonów zachodniej Białorusi i Ukrainy. W każdym z nich lokowano od 100 do 500 rodzin<sup>3</sup>. Dobrucki wspomina, że oprócz Polaków mieszkali tu wywiezieni Ukraińcy.

Sytuacja ludzi przebywających w różnych „specposiołkach” wynikała z całego szeregu uwarunkowań. Na niektóre z nich bohater opowieści zwraca szczególną uwagę. Mówi tu o specyfice klimatyczno-przyrodniczej północnych rejonów Rosji, o organizacji pracy oraz o stosunku komendanta i innych funkcjonariuszy do deportowanych. W osadach, w których przebywał Dobrucki, ludzie żyli w biedzie, w niezwykle prymitywnych warunkach, wykonywali bardzo ciężką pracę, ale przedstawiciele miejscowych władz nie postępowali z nimi okrutnie. Nie przywieziono ich tu bowiem na zagładę, tylko jako siłę roboczą. Józef Dobrucki, który był wówczas młodym, silnym i zaradnym człowiekiem potrafił zapewnić sobie skromne środki do życia, a nawet pomagać rodzinie. Spotykał się zresztą z przejawami pewnej troski komendanta o los jego bliskich. Inna sprawa, że doli zesłańców niewiele można było ulżyć, gdyż w odległych rejonach Rosji panowała ogólna nędza.

Po tzw. amnestii Dobruccy przez kilka miesięcy przedzierali się na południe, chcąc dotrzeć do obozów tworzącego się Wojska Polskiego. W czasie wyczerpującej podróży z trudem zdobywali środki na życie. Wycieńczony głodem i chory ojciec zmarł w Uzbekistanie, zaś pozostali członkowie rodziny przybyli w kwietniu 1942 roku do Kermine. Młodszy bracia Józefa, Bolek i Dolek zostali junakami, zaś siostra Lonia trafiła do sierocińca, przeniesionego później do Jangi-Jul. Matka z pozostałą dwójką dzieci ewakuowała się do Iranu, gdzie Józef zaciągnął się do Wojska Polskiego. Nakarmiony, umyty i przyodziany w nowy mundur „w ciągu jednego dnia z nędzarza przeobraził się z powrotem w człowieka”. I w tym momencie urywa się jego opowieść.

W postłowie Henryk Bieliński pisze, jak potoczyły się dalsze losy Józefa Dobruckiego. Po zakończeniu kampanii włoskiej, nie mając grosza przy duszy, wyjechał do Kanady. Tam założył rodzinę i dzięki ciężkiej pracy osiągnął stabilizację, a z czasem stał się zamożnym człowiekiem.

Jego historię Henryk Bieliński kończy zdaniem: „Szkoda, że Polska straciła takich jak ON OBYWATELI.... SZKODA!”.

*Opracowała Anna Milewska-Młynik*

3 Osadników i leśników kierowano do obwodów: kirowskiego, permskiego, wologodzkiego, archangielskiego, iwanowskiego, jarosławskiego, nowosybirskiego, swierdłowskiego, omskiego, do Komi ASRR oraz do Krajów Krasnojarskiego i Altajskiego. Podstawę prawną wywózek stanowiły: „Postanowienie Rady Komisarzy Ludowych ZSRR” z 29 grudnia 1939 r., „Postanowienie o specposiołkach i organizacji pracy osadników wysiedlonych z zachodnich obwodów USRR i BSSR” oraz „Instrukcja o porządku przesiedlenia osadników z zachodnich obwodów USRR i BSRR”.